



KRAKÓW \* ROK II \* NR. 4-5  
GRUDZIEŃ-STYCZEŃ \* 1941/2

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY



# UKARANA PYCHA

Chodził gęsior po podwórzu nadęty jak bania.

— Gę, gę, gę, słyszeliście kiedy taki piękny głos? A jaki mocny! Słuchać mnie aż na dziesiątym podwórzu! Cóż za śpiewak ze mnie wspinały! Gę! Gę! Gę!

Piękna kurka, pani Czubatka, zniosła właśnie jajko na stryszku na sianie.

— Kut-ku-dak! Kut-ku-dak! Zwariować można z tym gęsiorem! Jaki niemądry, jak się przechwala, a nic nie potrafi, tylko wrzeszczeć od samego rana, że aż uszy puchną!

— Pul-pu-ul-pul — piszczy cieniutkim głosikiem indyczka. — Rzeczywiście pan gęsior nie jest zbyt mądry. Musimy się wynieść z tego podwórza, bo bardzo nie lubię takich grubych, ordynarnych głosów.

Łaciaty piesek, Mikuś, patrzy na to wszystko, słucha i widzi, że mały Staś boi się przejść przez podwórze. Staś pamięta dobrze, jak go raz gę-

sior uszczypnął czerwonym dziobem w nogę i syczał za nim, jak żmija w lesie.

— Hau! Hau! Nic się nie bój — szczeka wesoło Mikuś. — Ja tego krzykacza zaraz uspokoję.

— Gę! Gę! Jakiego krzykacza?! — Gęsior podskoczył ze złości aż pół metra w górę. — Ty do mnie mówisz, głupi psie? Nie słyszałeś o największym śpiewaku świata?

— Hau! Hau! Twoim głosem mogą się zachwycać tylko kozy albo wrony. Jesteś nadęty i zarozumiały. Wynoś się do stajni, bo ci pióra powyrywam z ogona, jak nie przestaniesz hałasować!

I patrzcie, co się na podwórzu dzieje.

Gęsior się rozpędza, podskakuje w górę i chce dziobem uderzyć Mikusia, ale zwinny piesek nie da sobie zrobić krzywdy.

— Masz-s-s — syczy gęsior — zaraz dam ci w ucho.

— Wyrr-wyrrr-hau! Ale niechże łaskawy pan tak wysoko nie skacze. To może zaszkodzić pięknemu głosikowi — szczeka Mikuś. — Kto to słyszał, aby śpiewak skakał jak pajac na sznurku.

— S-s-s-sz zaraz się przestaniesz ze mnie naśmiewać.

Na podwórzu toczy się walka zawzięta. Mikuś szarpie gęsiora za





ogon, pióra lecą, gęsior krzyczy, a Staś się śmieje.

— Co się tu dzieje — krzyczy gruba Magda. — Zaraz zrobię z wami porządek! Mikuś do budy domu pilnować, a krzykliwego pana gęsiora zamkniemy w klatce. Zamiast urwiszować po podwórku i wydzierać się wniebogłosy, będzie tuczył się, jak przystało na przyzwoitego ptaka, z którego będzie dobre pieczyste.

— Gę! Gę! Jestem przecież największym śpiewakiem świata — krzyczy przerażony gęsior.

— Hau, hau — szczeka Mikuś. — Dobra klatka dla gęsiora, dobra będzie pieczona gęsina dla Stasia, a dla mnie smaczne, kruche kosteczki. Hau, hau. Pycha bywa zawsze ukarana, dumny panie gęsiorze.

*Czarkowska Joanna.*



Jest popołudnie.

Zosia zjadła kromkę chleba, wypita szklankę mleka i wygląda sobie oknem. Nic robić jej się nie chce.

Deszcz pada, zimny wiatr hula po drodze i ogrodzie, a krople deszczu spływają po szybach. Dwie młode brzoźki trzepoczą gałęzmi. Zrzucają ostatnie zeschnięte listki.

Zosia patrzy.

Po błotnistej drodze jedzie wóz pełen drzewa. Koń ze schyloną głową ciągnie wóz z wysiłkiem. Koła oble-

pione błotem toczą się wolno i ciężko. Obok wozu idzie woźnica. Otula się lichą sukmaną i czapkę nasuwa na czoło.

— Jak mu się chce w taką nie pogodę wieść drzewo? — myśli Zosia.

— Pracuje — zaświtała myśl w główce dziewczynki.

Ha, niech pracuje, lecz ona, Zosia, pracować nie będzie. Będzie patrzyła przez te zmętniałe szybki na krople deszczu, na błoto, na szumiące brzoźki.

Wóz przejechał, a teraz tą błotnistą drogą idzie mały chłopiec z koszykiem w ręce. Pewno idzie do sklepu, a sklep daleko, na końcu wsi. Że też mu się chciało w taką niepogodę wyjść z domu!

— Pracuje... — przemknęło znów przez główkę Zosi.

Wiatr huczy, aż się uginają nagie drzewa. A krople deszczu ciągle spływają po szybach.

— Czy te krople też pracują? — myśli Zosia. — Chyba nie, a może...

Zosi nie chce się dłużej myśleć nad tym. Zresztą od długiego myślenia może głowa rozboleć.

Przed chatę wybiegł pies, wierny Kruczek. Wcześniej dziś został spuszczoney z łańcucha. Obiega wszystkie kąty, wymyka się nawet na drogę, znów wraca na podwórze, pilnuje domu.

Zosia myśli:

— Niemądry pies! W taką słotę biegać po podwórzu. Ot, spałby lepiej sobie w ciepłej budzie, którą mu tatuś tak doskonale ogacił i wymościł słomą.

— Pracuje... — zamajaczyła myśl w sennej główce Zosi.

Mama tak długo nie wraca. Babcia zasłała, więc mama poszła ją odwiedzić, a to dość daleko. Tatuś jest traczem. Rżnie drzewo na deski u sąsiada w sąsiedniej wiosce i wróci dopiero późno wieczorem.

A Zosi nudno samej. Nudno, bo nie ma ochoty zająć się robotą. Deszcz przestał padać, wiatr też się uciszył.

Zosia ociężale wstaje od okna i siada sobie wygodnie na skrzynce stojącej pod ścianą. Powieki jej tak ciężą i kleją się do snu. Zosia przeciera oczy.

Nie, zasnąć nie może. Właściwie powinna wyręczyć trochę mamę. Pomyć statki, uprzątnąć izbę i wziąć się do lekcji. Ale na tę myśl Zosia krzywi się niechętnie. Oczy jej ciągle się zamykają. Nie, przecież nie zaśnie...

Nagle widzi Zosia, że na stole dzieją się niezwykle rzeczy. Oto szklanka po mleku poruszyła się i rzekła do brudnej miseczki:

— Jakaż ta Zosia leniwa! Gospodyni wychodząc kazała jej nas wszystkie pomyć i poustawiać w szafce, a ta Zosia próżnuje.

— Patrzcie, ona już śpi — szcęknięły łyżki.

— Musimy same wziąć się do pracy — mówi talerz — bo chyba nie doczekamy się, aby nas Zosia pomyła.

I oto na stół, nie wiadomo jakim sposobem, przywędrowała duża miska pełna wody. Szklanki, miseczki, dwa kubki, kilka talerzy, łyżki i łyżeczki, wskoczyły zgrabnie do miski i myją się, pluskają, aż wesoly szcęk rozchodzi się po izbie. Wreszcie całe towarzystwo wychodzi czyste i rzeźkie z kąpieli i po kolei, starannie wyciera się ściereczką.

— Co tu śmieci na podłodze — odezwała się z kąta miotła. — A tej Zosi ani się śni izbę zamieść.

I miotła niewiele myśląc zaczęła rażno zamiatać.



— Zosia jeszcze na jutro lekcji nie umie — zatrzepotały kartkami książki i zeszyty, porzucone niedbale na ławie. — Widocznie już dziś Zosia uczyć się nie będzie.

I książki zaczęły wyglądać sobie kartki, odwijając rogi, a potem zamknęły się powoli.

Patrząc Zosia pełna podziwu, a nie może ani przemówić, ani się poruszyć.

Nagle głośne szczekanie Kruczka obudziło Zosię.

Dziewczynka przeciera oczy i widzi: śmiecie na podłodze, porzucone książki i zeszyty na ławce, niepomyte naczynia po obiedzie na stole.

Żwawo zrywa się Zosia i ochoczo zabiera się do pracy.

Jest jeszcze ciepła woda w saganku. Trzeba prędko zmyć talerze, kubki, szklanki. Trzeba powycierać je ściereczką i poustawiać w szafce. No, już jedna robota skończona. Doskonale!

Teraz Zosia zamiata izbę. Gęsim skrzydłem zgarnia śmiecie na śmietniczkę i rzuca je pod blachę. Niech się wszystko spali, co brudne i niepotrzebne.

Jakże teraz miło spojrzeć dookoła!

O, jeszcze książki i zeszyty trzeba poukładać i schować do teczki. Tylko „Ster“ zostanie na stole, bo teraz będzie Zosia czytać zadaną na jutro powiastkę.

Słychać szuranie nóg na słomiance. To mama wraca.

*M. Szczepankowska.*

## Na Trzech Króli

— Zośka, chodź ino! — pisnęła Kasia wpadając do izby.

Za nią wleciał mroźny wiatr i białe gwiazdki śniegu. Z pośpiechu nie otrzepała nawet ośnieżonych buciarów. Na drewnianej podłodze zostały dwa brudne placki śniegu z obcasów i jęły się rozpląwać w małe jeziora.

— O rany Boskie, Kaśka! — wrzasnęła Zosia. — Tak się napracowałam nad tą podłogą, a ty mi tu śnieg znosisz! Zbierz to zaraz!

Ale Kasia nie słuchała nawet. Chwyliła Zosię za spódnicę i pociągnęła ku drzwiom.

— Zośka, chodź ino, przebierańce idą!

Jakoż przez niedomknięte drzwi doleciał daleki głos harmonii i cienkie popiskiwanie skrzypiec. Zosia w jednej chwili zapomniała o śniegu i podłodze. Narzuciła chustkę na plecy i wybiegła z chaty, w pośpiechu zostawiając drzwi na rozcież otwarte. Za nią potoczyła się uczepiona jej spódnicą Kasia.

Mróz był niewielki, za to śnieg padał gęsto

dużymi płatami i ze wszystkim zasypał ścieżkę przekopaną do bramki. Świeże ślady Kasi wypełniły się już do połowy. Zosia rozrzuciła go trochę nogami i wyszła na drogę.

Szli ode wsi gromadą, barwiąc się i czerniąc na ośnieżonej drodze. Przed nimi leciały dźwięki muzyki, za nimi ciągnęła ciżba dzieciaków z krzykiem i śmiechami. Przodem prowadzony na postronku przez dziada skakał turoń z wielką osłą głową osadzoną na długim kijku. Odziany był w kozuch włosom do góry. Człapał śmiesznie schylony opierając się na dwóch kijaszkach. Kłapał groźnie paszczą, wywieszał czerwony ozór i szczekał głośno podkowami, które osadzone miał w pysku zamiast zębów.

Za turoń szedł obdarty dziad z przyprowadzoną konopną brodą, z długim kijem i rudy żyd w czerwonym chałacie, a za nimi chłopcy ze skrzypcami i harmonią. Przyspieszyli gromko, a dzieci wtórowały im piskli-



wie. Kasia nie wytrzymała. Oderwała się od Zosinej spódnicy i skoczyła im na przeciw.

Tymczasem przebierańce podeszli bliżej. Dzieci przyspieszyły kroku i pobiegły przodem pod chatę.

— Idą trzej królowie, idą monarchowie — śpiewali chłopcy.

Zosia cofnęła się i przymknęła bramkę. Tatusia nie było w domu więc nie chciała puścić ich do chaty. Zresztą i tak nie miałyby im co dać. Ale przebierańce nie kwapili się do niej. Szli do najbogatszego gospodarza, do Bucha, żeby sobie zrobić dobry początek. Tylko gdy przechodzili obok, turoń zaśpiewał Zosi:

Jakem się zaliciał,  
sadełko wisało, —  
jakem się ożenił  
gdziesik się podziato.

Zosia rozgniewała się i zawróciła do chaty. Ale jeszcze u drzwi doleciała ją piosenka:

Jakem się oświadczył  
jednej krakowiance,  
dała ci mi kluski  
na samej maślance!

Nie zwróciła jednak na to uwagi, bo w chacie zastała istne rumowisko. Przez otwarte drzwi dostał się do izby Kruczek i napadł śpiącego na piecu kota. Wszędzie widniały ślady ich zajadłej gonitwy w postaci rozlanego mleka i poprzewracanych sprzętów. Zosia wyгнаła Kruczka na dwór i zabrała się do porządkowania.

Tymczasem przebierańce doszli do Bucha. Zmarznięci, zasypani śniegiem wtoczyli się do sieni i zakolędownali pięknie, po bożemu: „Jaka to gwiazda”. Z dwu stron uchylity się drzwi i wyjrzały ku nim zaciekawione dziewczęta. Wreszcie wyszedł i gospodarz z gospodynią. Harmonia odezwała się żywiej, skrzypce pisnęły cienie. Przebierańce zaczęli śpiewać:

Jako było, niechaj będzie!  
Przyślim tu po kolędzie!  
Pan Jezus się rodzi,  
po kolędzie chodzi;  
i my, ludzie grzyśni,  
po kolędzie przyśli”.

I turoń zakręcił się na środku, machnął kijem na dzieciśka i przyspiewał do gospodarza.

Buchowa zawróciła do izby, by wynieść coś dla kołędników. Dziewczęta tymczasem wysunęły się do sieni i obstały ich bliżej. Ale rychło skoczyły znowu za drzwi, bo turoń próbował tryknąć je głową.

Gospodyni wyniosła przebierańcom noworocznego placka, bo trzechkrólowy na jutro nie był jeszcze gotów. Chłopcy zjedli i na podziękowanie zaśpiewali kolędy.

Ale nie utrzymali długo powagi. Harmonia znów porwała się do krakowiaka, a dziad zawołał:

Gnaj, turoniu, gnaj, gnaj,  
a ty, żydku, poganiaj!

Żyd skoczył do turonia i poczęli się gonić po sieni. Ale turoń miał swój mocny kijek, a żyd tylko gołe ręce, więc rychło odmienił się porządek tej gonitwy i żyd począł umykać przed turoniem.

Wśród śmiechu wypadli na dwór. Tymczasem dziad zdjął kapelusz i począł obchodzić obecnych. Gospodarz rzucił mu całego złotego, a gospodyni wsunęła mu też coś do torby.

Tymczasem turoń z żydem wrócili, wnosząc do sieni całe góry śniegu i gdy dziad zbierał pieniądze, turoń zaśpiewał dziewczętom kilka uciesznych piosenek. Potem zakolędownali raz jeszcze i zabierali się do wyjścia.

Dziad złapał znów turonia na postronek i zaśpiewał:

Pójdź, turoniu, do domu,  
nie zastępuj nikomu,  
boś się nie tu uchował,  
nie będziesz tu nocował.

Zaśpiewali jeszcze chórem:

Za kolędę dziękujemy,  
zdrowia, szczęścia winszujemy,  
byście wszyscy długo żyli,  
zdrowi i szczęśliwi byli  
na ten Nowy Rok.

Dzieciaki wypadły przodem, za nimi przebierańce. Ostatnia wysunęła się Kasia. Z westchnieniem obejrzała się za turoniem, przystanąła, pomedytowała. Wreszcie zawróciła do domu. Za nią pobiegła pieśń:

Idą trzej królowie,  
idą monarchowie,  
zycą ludziom szczęścia, zdrowia  
i wszelkiej pomyślności w domach!

Jadwiga Morska.



## Jak Antek Gruda kupował choinkę

Nunia wracała ze szkoły. Szła dalszą drogą przez rynek. Było parę dni przed Bożym Narodzeniem. A wtedy rynek krakowski zamienia się w wielki zielony las choinek. Pachnące zielenią, otaczają choinki Sukiennice. Są tam duże drzewka, aż pod sufit i maluśkie drzewka, takie jak dla lalki. Są rozmaite.

Strasznie przyjemnie jest chodzić między tymi drzewkami, między tłumem dorosłych ludzi i dzieci. Ruch, gwar, a te choinki tak pachną ślicznie i tak zielono wokół. Całkiem jak w prawdziwym lesie. I nawet zgubić się można. Naumyślnie, oczywiście.

Więc Nunia wstąpiła do tego lasu, żeby się tam zgubić. Aż tu między wielkimi choinkami spotkała Antka. Dźwigał na plecach duże drzewko, a za nim szedł jakiś pan.

Nunia zawołała:

— Antek, gdzie idziesz?

Oglądnał się i odkrzyknął:

— Ino do „dryndy“, poczekaj! Przylecę zaraz.

No, więc Nunia stanęła i czeka. Rzeczywiście zaraz przybiegł. Wtedy spytała:

— Co ty tu robisz?

— Zarabiam — odpowiedział dumnie.

— Zarabiasz? Jakto? Na co?

— Na drzewko. Mama powiedziała, że jak se sam drzewko kupię, to mi od tych państwa, gdzie pierze, przyniesie trochę cukierków w bibułce. Będę miał co zawiesić. No, to zarabiam. Inaczej skądbym wziął na drzewko?

— Acha, nosisz choinki — domyśliła się Nunia — i płacą ci?

— Płacą. Czasem dobrze, czasem źle. Ale wiesz? Już uzbierałem na drzewko. Jeszcze ino na świeczki zrobię. Widzisz! Ale to już jutro.

Taki był uradowany, że gwizdnął sobie z całej siły.

— Wiesz, Antek, jak chcesz tak gwizdać, to mi powiedz, żeby mi się uszy zatkała, bo aż mnie w głowie zawierciło.

— Ojej, jaki delikacik! Ale, żebyś wiedziała, że dobry, chodź ze mną drzewko kupować. Chcesz?

— Pewno, że chcę. Chodźmy!

Nunia była bardzo zadowolona. Zawsze lubiła coś kupować. Co bądź.

Antek przeliczył pieniądze, potem wsadził ręce w dziurawe kieszenie i poszli.

— Kupimy małe — tłumaczył Antek z pańską miną — bo duże, to tylko kłopot. Trudno się dostać do czubka, zawsze trzeba włązić na stołek. A zresztą wolę małe. Ty też. Prawda?

— Prawda — odrzekła Nunia, ale jakoś bez przekonania.

Stanęli przed grubą babą, która siedziała na kupce zielonych gałęzi. Antek obszedł babinę parę razy dookoła, przypatrzył się i drzewkom. Wziął do ręki jedno niewielkie, zmarszczył brwi i mruknął:

— No, ujdzie, takie sobie.

A potem stanął przed babą:

— Mamuńciu kochana, ile za to drzeweczko?



— Dziewięćdziesiąt groszy.

— Co? Tyle? Ojej! Czy wy wstydu nie macie? Czy wy chrześcijański człowiek? Za co tyle? Za koślawy krzak? Kto wam to kupi? Tylko taki dobry, jak ja. Jeszcze się cieszcie, że się tego pozbędziecie.

— Żebym się zaś ciebie nie pozbyła, huncwocie jakiś! — krzyknęła baba i pogroziła Antkowi wielką gałęzią.

Antek odskoczył w tył, ale wnet się znów zbliżył. Zaczął inaczej:

— Ale myślicie, że Pan Jezus rad, jak wy na mnie z miotłą, jak ta czarownica jaka? Przecieżem bidny, jak i on. To wy mnie tak chcecie oskubać ze wszystkiego, jak ten Herod? Myślicie, że wam się dzieci chować będą za te pieniądze, co mnie skrzywdzicie? Ale, nie będą! A za to wam Pan Jezus pobłogostawi, jak dla mnie życzliwa będziecie, mamuńciu kochana.

Babina zmiękła:

— Ile masz pieniędzy, utrapieńcze jakiś?

Antek wyciągnął dłoń: — A porachujcie se!

Zagarnęła pieniądze i powiedziała:

— Bierz se drzewko i strać mi się z oczu, niech cię nie widzę.

Antek porwał choinkę i uklonił się pięknie:

— Moje uszanowanie, wesołych świąt, pani gospodyni.

I poszli. Po drodze mówił do Nuni:

— Widzisz, jakie śliczne? Najładniejsze ze wszystkich. A jakie duże! Ho! Ho! To ci będę miał dopiero! Zatkaj uszy, bo gwizdnę. Już nie mogę wytrzymać.

Położył drzewko na ziemi, włożył dwa palce do ust i tak gwizdnął, aż się spłoszył stary koń dorożkarski.

## i co z tego wynikło

Potem maszerowali dalej. Na rogu ulicy stała jakaś kobieta z małym chłopczykiem, takim, co miał może trzy lata. Chłopczyk płakał z całych sił i tupał nóżkami. Kobieta ciągnęła go za rączkę, ale on się wrywał.

Antek stanął i roześmiał się:

— Ocho, muzyka — powiedział — posłuchajmy. To bardzo śmieszny taki brzdąc.

A „brzdąc“, gdy ich zobaczył, umilkł nagle, jakby uciął. A potem począł ciągnąć matkę do Antkowego drzewka. Po króciutkiej przerwie

znów się rozplakał jeszcze głośniej i rzewniej i krzyczał przez płacz:

— Ooo, dziewczko! Uuuuu! ja ciem dziewczka! Uuuuuu!

Tupał nóżkami, wyciągał rączki do drzewka i zanosił się od płaczu. A matka tłumaczyła zmartwiona:

— Mama nie może Jasiowi drzewka kupić. Bo mama biedna. Jak by Jaś miał drzewko, to by nie dostał kaszki na obiadek. Długo, długo.

Ale Jasia teraz nic nie obchodziła kaszka. Krzyczał i płakał dalej.

— Dziewko! Ja cie dziewczka! Uuu!



Antek już się nie śmiał. Stał i patrzył. Wsadził rękę pod czapkę i skrobał się po głowie z namysłem. Nagle zbliżył się do Jasia, wetknął mu drzewko w wyciągnięte rączki i powiedział:

— Masz drzewko. A nie becz.

Potem pociągnął Nunię za łokieć i pobiegł prędko, a ona za nim.

Gdzieś już daleko, na drugiej ulicy przystanął, czerwony ze zmęczenia.

— Antek, coś ty zrobił? — pytała zdziwiona Nunia. — Dlaczegoś dał drzewko temu dziecku?

Odpowiedział trochę trzęsącym się głosem:

— Nie potrzebuję drzewka! Czy to ja jestem taki brzdąc, żebym za nim buczał? A on mały, głupi, a zarobić na to drzewko nie da rady. Może jego matka też gdzieś pierze, to mu cukierków przyniesie... Ja nie potrzebuję.

Nunia popatrzała na niego. Oczy mu się jakoś zaszklily. Odwrócił głowę. Za chwilę spytał cicho:

— A ty już masz drzewko?

— Jeszcze nie.

— Ale pewno dostaniesz?...

— Pewno.

— No, to ja ci go do domu odniosę. Za darmo, ma się rozumieć. Dobrze?

— Dobrze — szepnęła Nunia. Ale jakoś nic się na to drzewko nie cieszyła, choć mogło być wielkie, aż pod sufit. — Ty jesteś bardzo dobry — powiedziała po chwili z uznaniem.

Ruszył ramionami niechętnie i skrzywił się:

— Iiii, cóż to? Jak bym chciał, to bym se jeszcze ładniejsze kupił, ale nie chcę, wiesz?

Maria Kędziorzyna  
(„Antek Gruda“)

## PIEC NA ULICY

Na rogu ulicy,  
Na chodnika brzegu,  
Jacyś ludzie z rana  
Zmietli trochę śniegu.

Kosz żelazny postawili,  
Koksu nasypali.  
Teraz patrzcie, moi mili,  
Jak tam koks się pali!

Płomień niski,  
Dymu mało,  
Ale grzeje!  
Miły Boże!  
Hej, ludziska!  
Chodźcie śmiało!

Każdy się ogrzać może.  
Stoją starsi, stoją dzieci —  
Od koszyka ciepło leci.  
Nie potrzeba tupać nogą,  
Nogi też się ogrzać mogą.  
Zbrakło koksu? Będzie świeży!  
Grzeją ręce, twarze,  
Dorożkarze i szoferzy,  
Chłopcy-gazeciarze.

No i cóż?  
Ciepło już!  
Choć wkoło śnieg biały.  
Oj, te kosze na ulicy  
Bardzo się przydały!

Ed. Szymański.



# PANI PUSZYKICKA

Na starej sośnie, pod jednym z pokrzywionych konarów, w głębokiej dziupli urządziła sobie wygodne mieszkanie pani Puszykicka. Była to już starsza wiewiórka. Miała piękne brązowo-rude futerko, mądre, bystre oczka i wspaniałą puszystą kitę, którą zarzucała sobie na łebek, kiedy się do snu układała i nakrywała się nią jak miękką, ciepłą kołderką.

I właśnie dlatego nazywano ją Puszykicką.

Mieszkała sama. Dzieci jej dawno już dorosły, poszły w las i tam zbudowały sobie własne gniazda w dziuplach drzew. Panią Puszykicką znali i kochali nie tylko wiewiórki, ale i inne zwierzątka i ptaki w całym lesie. Była mądra, dobra, nie wtrącała się do nikogo, nie klóciła się z nikim, a rady i pomocy nie odmówiła nikomu.

Młode wiewiórki przychodziły do niej jak do matki radzić się w różnych sprawach. Ta nie wie gdzie i jak zapasy przechować na zimę, tamta nie może sobie dać rady z obetkaniem dziupli, a innej jeszcze łapka zagoić się nie chce, co ją sobie gałęzią przyniotła.

A pani Puszykicka okulary na nos zakłada, a słucha, a radzi, a jeszcze że swoich zapasów odda część tym, co nie dość ich zebrały.

Lato się już skończyło. Wieczory i ranki były coraz chłodniejsze.

W lesie ruch był wielki. Jedne ptaki szykowały się do odlotu, inne, które zimy się nie bały, oglądały się zawczasu za wygodniejszym, zaciszniejszym mieszkaniem.

Pani Puszykicka, tak jak każdego roku o tej porze, zajęta była układaniem zapasów, które przez lato i jesień zebrała, oraz przygotowaniem swojej dziupli na zimę. A co to było za mieszkanie! Żadna wiewiórka takiego nie miała! Obszerna dziupla, doskonale osłonięta od wiatru i śniegu zwisającymi gałęziami poczciwej sosny, podzielona była aż na trzy przegródki.

Pierwsza zaraz od wejścia była dość płytka, z dwoma otworkami, jakby okienkami, przewiewna, pusta — służyła za mieszkanie letnie. Z niej wchodziło się po schodach do drugiej. Ta była głębsza, niżej położona, doskonale obetkana i wysłana miękkim mchem. Miała tak ciasny otwór, że sama gospodyni z trudem się przez niego wsuwała — umyślnie widocznie tak urządzony, żeby nieproszony gość, szkodnik, nie mógł się tu dostać. Z tej przegródki wchodziło się do najmniejszej, w której w wielkim porządku poukładane były zapasy zimowe. To była spiżarnia. Boże, czegoż tam nie było! I orzechy rozmaite, i ziarenka słoneczników, i nasiona z szyszek, i jabłka, i gruszki leśne, i jagody suszone, i dużo, dużo innych smakołyków.





Naprzeciw starej sosny rósł piękny, wysoki świerk. Od samego wierzchołka jakby usiany był gniazdami ptasimi. Świerk był prościutki, równy, bez żadnych zagłębień w korze, mógł więc tylko służyć za mieszkanie ptakom, które zawieszały gniazda swoje między gałęziami. Toteż zdziwiły się ptaki, kiedy pewnego poranka zobaczyły na swoim „ptasim” świerku młodą wiewiórkę.

Wiewiórka przeskakiwała z gałęzi na gałąź, kręciła się w kółko, bujała na gałęziach tak, że mało młodych nie postrącała z gniazd, wsuwała nossek ciekawie w każde mieszkanie, wszędzie zaglądała, machała kitą na w zystkie strony i zeskakiwała na ziemię, to znów wdrapywała się na drzewo. Przy tym wszystkim robiła bardzo dużo szumu i hałasu.

Kos, który przyglądał jej się, gwizdął niecierpliwie:

— Czego tu panna chcesz? Czego szukasz?

— Czego ona szuka? — powtórzyły za nim lękliwie ptaki.

A wiewiórka jakby nie słyszała, machnęła parę razy kitą, zakręciła się w kółko, pogładziła łapką swoją białą szyjkę, usadowiła się pod gałęzią przy niewielkim otworze i zaczęła szybko przegryzać korę, ażeby pogłębić otwór. Stary dzięcioł zwabiony hałasem wysunął się z gniazda.

— A czego tam panna szukasz? Nie wystukiwać mi robaków z kory, bo jak kolnę dziobem!

Wiewiórka spojrzała w górę, skąd głos dochodził, machnęła kitą i roześmiała się, aż echo poszło po lesie.

— Nazywam się Białoszyjska z Wielkich Dębów. Robię, co mi się podoba i proszę mi tu nie przeszkadzać. Szukam mieszkania na zimę na tym świerku — rzekła i dalej zdrapywała korę.

Po naradzie ptaki wysłały kosa,

pana Gwizdalskiego, żeby się rozmówił z nieznośną wiewiórką.

— Ten świerk służy za mieszkanie tylko ptakom — rzekł grzecznie pan Gwizdalski. — Proszę go nam zostawić, bo on nawet nie nadaje się na mieszkanie dla wiewiórki. Nie ma w nim większych zagłębień, a cóż dopiero dziupli. Zostaw go i szukaj sobie czegoś innego.

— Spodobał mi się bardzo ten świerk — odpowiedziała Białoszyjska. — Tu zamieszkać i basta!

Odwróciła się do kosa tyłem i znów zabrała się do łupania kory. Pan Gwizdalski widząc, że nie wiele wskóra u niegrzecznej wiewiórki, obrócił się na pięcie, gwizdnął i wyszedł bez pożegnania.

— Co z nią robić? — myślał sobie. — Złe to i głupie, a trajkocze, że trudno dogadać się z nią. — I skierował się do pani Puszykickej, ażeby się jej poradzić, co z tym fantem zrobić.

Zastukał do okienka i gwizdnął uprzejmie. Na balkonik wyszła pani Puszykicka.

— Dzień dobry pani — ukłonił się grzecznie.

— A, pan Gwizdalski! Dzień dobry! Co pan mi powie?

— Przyszedłem do pani po radę.

— Cóż takiego?

— Czy pani widziała, kto się wpakował na nasz świerk?

— Nic nie wiem. Któż taki? — I pani Puszykicka wychyliła się z dziupli, żeby zobaczyć tego „ktośia”.

— Co? Wiewiórka? Cóż ona za jedna? Po co ona tam siedzi? Nie znam jej wcale, choć znam tak wiele wiewiórek.

— To jakaś Białoszyjska z Wielkich Dębów — objaśnił kos. — Pani kochana, wielki kłopot z nią mamy.





Chce zostać na naszym świerku. Wierci sobie dziuplę, a że świerk nie ma większych zagłębień, przewierca go i psuje mieszkania innym.

— Ależ to niemożliwe, mój panie Gwizdalski! Wiewiórka w tej porze nie szuka mieszkania. Czy ona będzie zapasy przenosić po jednym orzeszku, toż to robota na całe lato! A jeśli sobie wydlubie dziuplę, to pożałuj się Boże, co to będzie za mieszkanie! Przecież nie zdąży obetkać jej przed nastaniem przymrozków, których się lada chwila spodziewać należy.

Gwizdalski podziękował za dobre słowo i za pociechę, pożegnał się z panią Puszykicą i poszedł do domu, ażeby uspokoić swoich sąsiadów.

Tymczasem robiło się coraz zimniej. Nasza wiewiórka posmutniała i uspokoiła się. Figlów już nie płała, bo budziła się zdrętwiała z zimna i ciasnoty, głodna, bo jedzenia

żadnego już w lesie znaleźć nie mogła, zapasów zaś nie miała. Było jej bardzo źle.

Pewnego ranka spadł śnieg i ubielił las cały. Ani źdźbła mchu spod niego widać nie było. Pani Puszykicka wyrzała ze swojej dziupli.

— Co też tam ten trzpiot robi? — pomyślała sobie. — Przecież ona zmarznie lub z głodu zemrze. Głupiotkie to, bo młode, ale biedne. — I dobre serduszko pani Puszykickiej ścisnęło się z żalu.

Białoszyjska nie pokazywała się dnia tego w lesie. Nie wyszła z dziupli i następnego. Pani Puszykicka zaniepokoiła się, weszła do mieszkania Białoszyjskiej i aż w łapki klasnęła.

— Boże mój! Jak pani tu mieszka! — zawołała. — Przecież pani tu zmarznie. Jak można tak płytką dziuplę wybierać! A gdzie pani zapasy trzyma?



Białoszyjska nieśmiało spojrzała na panią Puszykicką. Tyle napsociła, że aż się wstydzi.

— Nie mam zapasów — odpowiedziała cichutko. — Nie wiedziałam, że się robi zapasy na zimę, myślałam, że zawsze znaleźć coś można w lesie. Przecież sama jestem, więc sądziłam, że się jakoś wyżywię.

— Źle pani myślała! Ale że też matka nie nauczyła panią, jak się przygotowuje dziuplę i zapasy na zimę.

— Maleńka byłam, miałam za ledwie kilka tygodni, kiedy zły pies zagryzł moją matkę.

— Biedne dziecko — powiedziała pani Puszykicka i łapką pogładziła wiewióreczkę po główce. — Pójdź ze mną. Zmarzniesz tu. Mam dość dużą dziuplę, zmieścimy się razem. A i zapasów mam tyle, że starczy dla nas obu i jeszcze ktoś głodny pożywi się przy nas. Przechowujesz u mnie, a na wiosnę pomogę ci wyszukać dobrą dziuplę.

Białoszyjska była tak wzruszona dobrocią pani Puszykickiej, że łezki popłynęły jej z oczu i spadły na zmarznięte łapki.

— A ja pani tak dokuczałam — szepnęła zawstydzona.

— Bo młoda jesteś i matki nie miałaś, nie miałaś nikogo, kto by cię nauczył, co robić i czego czynić nie należy. Nie jesteś zła, dziecko, tylko biedna i głupiutka. No, no, ale chodźmy, bo się ciemno robi.

Kiedy przyszły do mieszkania, pani Puszykicka wyniosła ze spiżarni dużo dobrych rzeczy, a potem gdy Białoszyjska najadła się do syta, położyły się obie spać na mięciutkim mchu.

Dawno już Białoszyjska tak nie spała! Wkopała się w mech, że ledwo ją widać było, nakryła się kitką i spała, spała, aż słońce zajrzało do dziupli i pani Puszykicka wyniosła śniadanie ze spiżarni.

Białoszyjska pokochała panią Puszykicką jak matkę i było im bardzo dobrze razem. A kiedy stopniały śniegi i lody na wiosnę, pani Puszykicka wybrała na swojej sośnie wygodną dziuplę i opiekowała się swoją przyjaciółką jak córką, nawet wtedy, kiedy Białoszyjska miała już swoje dzieci, które nazywały panią Puszykicką „babusią“ i kochały ją jak swoją prawdziwą babcie.

*Romana Zawistowska.*

## RORATY

W mojej wiosce w każde rano,  
czy to dzisiaj, czy przed laty,  
gdy Adwentu dni nastaną,  
odprawiają się Roraty.

Jeszcze ani śladu zorzy:  
złota Jutrznia wśród niebiosów,  
a już cichy nasz Dom Boży  
brzmi tysiącem ludzkich głosów.

Przed ołtarzem księżus stary,  
świece żarzą się w lichtarzach,  
rozpraszając półmrok szary  
pod sklepieniem na witrażach...

Lecz niech tylko gdzieś na chórze  
ktoś uderzy w akord mocny,  
pieśń się zrywa hen ku górze,  
aż drżą szyby: — Boże Mocny!!!

*E. Kloniecki.*

**UWAGA!** Począwszy od przyszłego lutowego numeru pismo nasze wychodzić będzie w dwóch odmianach, każda w połowie dotychczasowej objętości: „Mały Ster” — przeznaczony na kł. II, III i IV, oraz „Ster” na kł. V, VI i VII.

Redakcja.

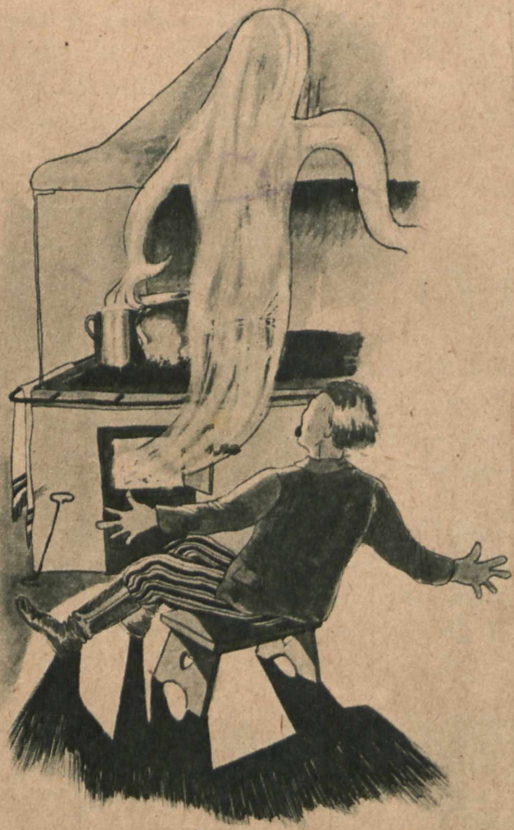


# Spełnione marzenia

*Bartłomieja Sowy*

Siadł Bartłomiej Sowa przed piecem zmęczony pracą w polu. Naharował się dzisiaj rzetelnie. Senność go ogarniała, ale na spanie za wcześnie, bo jeszcze wieczerza nie gotowa. Bartłomiejowa nastawiła saganki na kominie i dokąś wyszła. Bartłomiej więc siedzi i czeka.

Pod blachą huczy wesoło ogień. Za oknami gęsty mrok. Wsparł Bartłomiej głowę na rękach i medytuje. Marzy, jakby to dobrze było żyć w takim kraju, gdzieby nie trzeba było pracować, gdzieby mu wszyscy usługiwali, gdzie miałby wiele pieniędzy i wszystko, czego jeno dusza zapagnie. Aż westchnął głęboko.



Dorzucił parę drewnianych kłosek do ognia. Ogień w piecu żywym strzelił płomieniem, trysnął snopem iskier, gęstym dymem buchnął na izbę. Skłębził się dym zrazu leniwie nad blachą, potem wydłużył się, a wreszcie uformował się w wielką postać.

Patrzy Bartłomiej i dech ze strachu zamiera mu w piersiach. Przed nim stoi postać wysoka, duch w mgłę dymu spowity.

— Bartłomiej! — rzecze głosem głębokim, aż powietrze zadrżało w izbie dudniącym echem. — Pragnienia twoje zostaną spełnione. Raz na tysiąc lat ukazuję się ludziom i spełniam wszelkie ich życzenia. Niech ci się stanie, jak pragniesz!

Ledwo to Bartłomiej usłyszał, uczył silny szum w głowie, w oczach mu pociemniało, a gdy przyszedł do siebie, spostrzegł, że znajduje się w ogromnej sali wspaniałego jakiegoś pałacu. Zrobił parę kroków naprzód, ale poślizgnął się i runął jak długi. Posadzka bowiem lśniła jak ze szczerzego złota i była tak wypolerowana, że śliskością przewyższała lód.

— Bodaj to pioruny! — zaklął Bartłomiej siarczyscie. — Nie masz to jak moje klepisko! Piękne tu wszystko, jeno, żeby podłoga była, jak u mnie w izbie, zamiast tej ślizgawki.

Chciał się podnieść, gdy wtem przybiegło dziesięciu lokai w frakach i ostrożnie postawili go na nogi.

Zdziwił się Bartłomiej, gdy stanął, bo posadzka nie była już wypolerowanym lustrem złotym, lecz wyglądała tak samiutko jak



w jego własnej izbie. „Niech ci się stanie, jako pragniesz“ — przypomniały mu się słowa usłyszane przed chwilą.

Lokaje, którzy go obskoczyli, nie opuszczali go teraz ani na krok. Jeden trzymał go pod lewe, drugi pod prawe ramię, trzeci podreptywał przed nim, kłaniając się co chwila w pas, zaś reszta posuwała się z szacunkiem za nim.

— A to fagasy naprzykrzone! — pomyślał Bartłomiej. — Odetchnąć nijak mi nie dadzą.

Chciał fajkę sobie zapalić, lecz gdy tylko sięgnął po nią do kieszeni, pięciu lokajów w podskokach a ukłonach go obstąpiło.

Jeden trzymał fajkę ogromną brylantami wysadzaną, drugi zapalki w puzderku z masy perłowej, trzeci otwierał woreczek brokatowy srebrzystymi nićmi przeplatany, pełen złocistego tytoniu. Czwarty zaś i piąty bujany fotel cudnej roboty nieśli, jako że fajkę najprzyjemniej się pali kołysząc się w fotelu.

— Te fagasy zatracone żyć mi tutaj nie dają! — złościł się w duchu Bartłomiej. — Bodaż wynieśli się na cztery wiatry i człeka w spokoju ostawili.

Ledwo to wypowiedział, a już znikli lokaje. Tylko fajka wysadzana brylantami została, zapalki w puzderku z masy perłowej, brokatowy woreczek pełen złocistego tytoniu i fotel-bujak cudnej roboty.

Po kolei obejrzał Bartłomiej te cacka kosztowne, wreszcie napchał fajkę złocistym tytoniem z brokatowego woreczka i woskową zapalką z perłowego puzderka ją zapalił. Siadł wygodnie na fotelu, pociągnął raz, drugi, mocniej, jeszcze mocniej...

— A to wata, nie machorka! — rzekł.

Rzucił fajkę brylantową, wyciągnął swojego kopciucha, napchał grubą machorką z macherzynowego woreczka i zadowolony oto-

czył się kłębami niebieskiego, gryzącego dymu.

Z dala, pod ścianą ujrzał Bartłomiej skrzyżnię przepięknej roboty, pełną najrozmaitszych kosztowności: złota, srebra, pereł i szlachetnych kamieni.

— Gdzie jeno człowiek co ujrzy, to tęgi kawał drogi musi zmierzyć, zanim do tego dojdzie. Nie ma to jak nasza izba, nieduża, a przytulna. Dobrze by tu było, żeby jeno ta sala była żdziebko mniejsza — pomyślał sobie Bartłomiej.

Ledwo to wypowiedział, a cztery ściany kryształowej sali przesuwając się do siebie począły, aż zsunęły się na taką odległość jak w izbie Bartłomieja.

Bartłomiej poczuł głód.

— Czas by już było posilić się nieco — pomyślał.

Patrzy, a już do niego sunie stół zasta-





wiony dobrem wszelakim. Sięgnął Bartłomiej po pierwszy z brzegu talerz szczerozłoty, koło którego był napis: „zupa z chińskich gniazd jaskółczych, z perłami indyjskimi a la Harun al Raszyd“.

I rzeczywiście, prawdziwe perły w zupie tej pływały, a smak jej taki był słodki, że aż mdłości brały.

Nie smakowała zupa Bartłomiejowi, a co gorsza mało sobie dwu zębów na jednej perle nie złamał. Sięgnął po inny talerz. Były na nim kanarki smażone na motylim tłuszczu z liliami morskimi gotowanymi w ptasim mleku.

— Paskudztwo! — krzyknął Maciej, gdy spróbował i splunął ze złością. — Nie ma to jak nasze ziemniaki, kapusta dobrze słoniną okraszona i kawał wieprzowej kiełbasy!

Ledwo to powiedział, a wspaniała zastawa znikła bez śladu. Na stole ukazały się misy gliniane z buchającymi parą ziemniakami, z kapustą suto skwarkami omaszczoną i na blaszonym talerzu w kwiatki czerwone malowanym wielki zwój kiełbasy wieprzowej.



Smakowity zapach rozszedł się po sali. Bartłomiej mlasnął językiem i zabrał się do jedzenia.

-----

Mijały Bartłomiejowi dni i noce. Coraz to co innego mu się nie podobało, lecz wystarczyło, aby wyraził życzenie, a już, tak jak to sobie w ów wieczór przy ogniu umyślił, „czego jeno dusza zapagnie“ spełniało się w mgnieniu oka.

Poczuł w końcu Bartłomiej nudy okropne.

— Żebym to mógł teraz iść do roboty w pole, albo koło gospodarstwa. Żeby tu była izba, ta moja własna, com ją zbudował własnymi rękami! — powiedział sobie pewnego razu, bo już te cudaczności dojadły mu do żywego.

Z kryształową salą coś się dzieć zaczęło, ale Bartłomiej nic już nie uważał, jeno mówił do siebie w smutku i alternacji:

— Żebym to choć raz zmordowany robotą mógł se sięść u komina, odpocząć ździebko. I żeby mnie jutro czekała robota. I żeby znów móc se na chleb zapłacować, a nie tak mitrzyć w lenistwie. I żeby te życzenia i te wszystkie czarodziejstwa jasny pieron strzelił!!! — krzyknął z rozpaczą.

Gdy oddech mu się nieco uspokoił, spostrzegł, że siedzi u siebie w izbie przed piecem, w którym wesoło pali się ogień, jak w ów wieczór, kiedy to duch do niego zagadał. Tak samiuteńko. Jeszcze kilka iskier tłąc się zlatuje na podłogę, jeszcze dym się kłębi leniwie pod pułapem...

— Ha, jest wszystko tak jakem chcia! — szepnął i powtórzył po chwili: — Wszystko jakem chcia!

*Mieczysław Sysło.*



# WIECZÓR WIGILIJNY NA DALEKIEJ PÓŁNOCY

Nareszcie, nareszcie nadszedł wieczór wigilijny. Wszystko już przygotowane — wszystko i wszędzie jak najpiękniej.

Poprzedniego dnia nadeszła ostatnia poczta — oczekiwana z niecierpliwością, bo przywieść miała tyle rzeczy, a przede wszystkim choinkę.

— Czy myślisz, że choinkę przywiezą boczna drogą, czy też szosą? — pyta braciszek. Ale rozumie się, że choinka zajeżdża szosą z całą paradą. Stoimy wszyscy przed domem i przyjmujemy uroczyste wóz, naładowany rzeczami świątecznymi. Na szczycie króluje choinka.

— A widzisz, że jest choinka! A chciałaś mi koniecznie wmówić, że wujaszek nie przyśle w tym roku choinki.

Ostrożnie zdejmują z wozu choinkę i stawiają ją w pośrodku podwórza — wszyscy okrążają ją z wybuchami szalonej radości.

Wieczorem wniesie się choinkę do domu i ubierze — ho—ho! A tymczasem trzeba opróżnić wóz z paczek i pudełek. Każdy bierze swoje. Ojciec i matka potracają się ciągle, śmieją się i znikają z pośpiechem, każde ze swoją zdobyczą.

W kuchni ściany błyszczą od wyczyszczonych miedzianych i mosiężnych naczyń. Na stole kuchennym rozpostarty jest biały obrus, a na nim leży przepysznie pachnący chleb domowego wypieku. Berta przynosi z piwnicy jedną po drugiej wszystkie wyśmienite potrawy wigilijne. Zjawiają się więc owoce naszej pracy i trudu — witane z radością jako zasłużona nagroda.

Pokoje przyodziął strój świąteczny. Czyste, cienkie firanki zawieszają się u okien niby lekkie welony ślubne. Z każdego kąta pachnie

czystością. Piękne serwety i poduszki chowane na codzień, przyozdabiają dziś sprzęty. Matka obchodzi wszystkie kąty — tu i ówdzie zmienia coś jeszcze, porządkuje...

Godziny, które nas dzielą od zapalenia choinki, są chyba najdłuższe z całego roku. Dziewczynki próbują się zająć czymkolwiek, ale nie mogą — nudzi je wszystko po chwili — myślą ciągle o choince i tym wszystkim, co je czeka.

Nareszcie zbliża się czas, aby się przebrać. Idę na górę, a na dole rodzice zapalają świeczki na choince i cieszą się tym niemniej od dzieci. Tym razem ojciec ubrał choinkę piękniej niż kiedykolwiek — co rok zresztą wy daje nam się, że nigdy choinka nie była jeszcze taka piękna. Co rok przybywają też jakieś nowe ozdoby. Tym razem są to różnokolorowe małe chorągiewki, ozdobne i wesołe.

Wreszcie wszystko gotowe, Drzwi się otwierają.

— Chodźcie! — woła matka z uśmiechem.

Chwila wielkiego wrażenia. — „Więc już“ i wszyscy nieśmiało i z zakłopotanym śmiechem wchodzą i stają w uroczystym milczeniu olśnieni widokiem. Ten nastrój jednak nie trwa długo.

Za chwilę pokój rozbrzmiewa radosnym chórem głosów. Jeden stara się przekrzyknąć drugiego, nikt nikogo nie słyszy i nie rozumie, gwar i hałas! Bo też co za niespodzianki! Co za cuda!

Ojciec z matką siedzą na kanapie i cieszą się z tej szczerzej radości dziecięcej!

A choinka jest naprawdę prześliczna!

Wszystko na niej świeci się i błyszczczy — iskrzy się i migoce — światło, blask i barwy.



Z gałęzi zwieszają się lśniące sople lodowe i złoczone szyszki, ozdoby z bibułki roztaczają przepych najpiękniejszych kolorów, aniołki uwieszone na niewidzialnych nitkach, wznoszą się ku górze. A na samym szczycie błyszczą wielka gwiazda.

— Patrz, patrz, mateczko — woła braciшек skacząc i tańcząc wokoło drzewka. — Oto całe prosię świąteczne z czekolady, a to niedźwiedź. Ach tu taka śliczna mała biała dziewczynka na gałęzi! I patrz, ptak cały złoty — i rajski ptak z prawdziwymi skrzydłami.

Ale najpiękniejsza ze wszystkiego jest nasza wysoka wspaniała choinka.

Widzimy ją przecież tylko raz na rok — na Boże Narodzenie, bo u nas sosny nie rosną. Przynosi nam pozdrowienie z wielkich poważnych lasów z południa.

I taka jest dla nas droga, nie odrzucamy ani jednej igły. A jeśli jest za wysoka, ozdabiamy odciętymi gałązkami pokoje i tak się tym cieszymy!

A kiedy wreszcie nadchodzi czas rozstania i zabierają nam choinkę, dziewczynki układają wszystkie igły w małe koszyczki, aby ich zapas przypominał jeszcze długo Boże Narodzenie i wielkie lasy z południa!

Do pokoju wchodzi służące wesole, odświętnie ubrane. Stajemy wszyscy wokoło choinki i śpiewamy stare miłe kolędy. Potem ojciec czyta ustęp z ewangelii. Ale oczy wszystkich zwracają się ciekawie na stół wigilijny, nęcący różnobarwnymi paczkami — to podarunki gwiazdkowe.

Po chwili toniemy po prostu w papierach, z których rozwijają paczki.

„Wesołych świąt! Wesołych świąt!”

Miód, i ciasta świąteczne, i jabłka, i orzechy na stole — i twarze promieniejące radością wokoło stołu — wszystko, jak być powinno w ten wieczór. Trącamy się kieliszkami, układamy toasty na wszystkich w domu i na wszystkich naszych bliskich na południu i na północy.

Podnosimy się w uroczystym skupieniu. Czujemy, że związani jesteśmy niewypowiedzianymi uczuciami z tym krajem, z jego tysiącnymi zakątkami w górach i w dolinach — w miastach i nad każdym samotnym fiordem, gdzie ludzie święcą dziś, tak jak my, wieczór wigilijny z radością i uczuciem gorącym.

A. Gjems-Selmer

(„Nad dalekim, cichym fiordem“).

## W PRACOWNI RZEŹBIARZA

Była niedziela. Po nabożeństwie u księży Jezuitów na ulicy Kopernika w Krakowie dwaj chłopcy rozglądali się po kościele, obchodzili nawy i kaplice, przystawali od czasu do czasu, wreszcie zatrzymali się i jeden z nich zawołał:

— Patrz Jurek, jaki to ładny ołtarz... Tyle aniołów, a jakie mają ogromne skrzydła, jakby chciały ulecieć do nieba.

— Prawda, a jeszcze ładniejszy jest ten

drugi ołtarz ze świętym Józefem — odparł Jurek.

Chłopcy byli tak zajęci podziwianiem ołtarzy, że nie zauważyli, jak za nimi stanął wysoki pan z brodą i z uśmiechem przysłuchiwał się rozmowie. W pewnej chwili podszedł i zapytał:

— Cóż chłopcy, podobają wam się te rzeźby?

— Bardzo! — odpowiedzieli równocześnie.



— A co wam się najlepiej podoba?

— Mnie się podoba ten ołtarz ze świętym Józefem, a koledze memu z Matką Boską i aniołami.

— Pewniebyście chcieli wiedzieć, jak takie rzeźby powstają, prawda?

— Bardzobyśmy chcieli, ale kto je zrobił? Jak się nazywa?

— Hukan. Karol Hukan.

— Pan go zna może?

— Owszem.

— Bardzo chciałbym go widzieć. — I ja także! Czy on mieszka w Krakowie? Czy dużo zrobił takich rzeźb? Czy to trudno rzeźbić? — wołali szeptem chłopcy jeden przez drugiego.

— Widzę, że interesujecie się rzeźbą, to może najlepiej będzie jak wezmę was ze sobą i pójdziemy razem do pana Hukana.

— A on nam pokaże jeszcze inne rzeźby?

— Na pewno. Zresztą po drodze do pracowni zobaczycie także kilka jego rzeźb, bo dosyć jest ich po mieście. Taki śliczny dzisiaj dzień, słońce tak ładnie świeci, szczegóły rzeźb dobrze się uwidocznia. A więc idziemy?

— Idziemy, idziemy! Jakże jesteśmy panu wdzięczni.

Ucieszeni i zaciekawieni chłopcy ochoczo poszli za panem z brodą. On zaś skierował się przez Radziwiłłowską na ulicę Basztową, gdzie naprzeciwko Rondla Bramy Floriańskiej wznosi się olbrzymi gmach. To Bank Emisyjny. Na szczycie frontonu widnieje wspaniała rzeźba.

— Ta grupa po prawej stronie przedstawia przemysł, po lewej rolnictwo — powiedział pan z brodą. — Figury zrobione są ze sztucznego kamienia. Teraz pójdziemy dalej.

Ulicą Floriańską doszli do kościoła Mariackiego i stanęli przed głównym wejściem.

— Główki na środkowej bramie przedstawiają polskich świętych, na bramach bocz-

nych dwunastu Apostołów. Odlane są w brązie. Teraz obejrzymy sobie płaskorzeźby z życia Najświętszej Panny na bramie kościoła św. Barbary, a naprzeciwko kościoła nad bramą domu piękną plakiętę Wyspiańskiego.

Dalej ulicą Sławkowską skierowali się na Krowoderską, a stąd na Plac Biskupi. Naprzeciwko szkoły św. Wojciecha nad bramą domu zobaczyli śliczną rzeźbę św. Antoniego z Dzieciątkiem.

— To jest rzeźba kamienna, gipsowy model tej rzeźby znajduje się w kościele Karmelitanek Bosych na Wesołej.

Na ulicy Batorego obejrzeliby jeszcze dwie płaskorzeźby Hukana. Matkę Boską z Dzieciątkiem i aniołkami i płaskorzeźbę Stefana Batorego.

Doszli wreszcie na koniec Karmelickiej i weszli do narożnego domu i przez ogródek do pracowni. Na drzwiach widniała wizytówka: Karol Hukan. Pan z brodą otworzył drzwi i wpuścił chłopców. Rozglądając się po pracowni zauważyli, że nie ma w niej nikogo.

— A gdzie pan Hukan? Nie ma go?

Pan z brodą uśmiechnął się.

— No widzicie, Hukan to jestem ja. A ponieważ chcielibyście bliżej zapoznać się z rzeźbą, pokażę wam różne rzeczy.

Chłopcy ciekawie zaczęli przypatrywać się wysokiemu panu. A więc tak wygląda rzeźbiarz — mówili sobie w duchu. Ciekawi byli, czy wszyscy artyści noszą brody, ale nie śmieli się zapytać.

— Jaka ta pracownia jest wysoka — dziwili się — i ma szklany dach.

— Musi być taka wysoka, bo jak czasem stawia się wysokie rusztowanie, mogłoby się nie zmieścić inaczej. A szklany dach jest dlatego, bo światło musi padać także z góry, aby rzeźba była dobrze oświetlona.



Pracownia była rzeczywiście ogromna. Na postumentach stały rozmaite popiersia, niektóre zaledwie rozpoczęte, inne już skończone. Na półkach porozmieszczane były małe rzeźby, to projekty nie wykonanych jeszcze pomników i kompozycji. Na ścianach wisiały maski. Chłopcy rozglądali się na wszystkie strony.

— Zaraz wam pokażę jak powstaje rzeźba — rzekł pan Hukan, wskazując na jedno z popiersi owinięte mokrymi płachtami.

— Zaczynając rzeźbę trzeba najprzód zrobić podstawę, to jest szkielet, na którym dopiero układa się glinę. Gлина musi być mokra, bo inaczej nie dałaby się urabiać — mówiąc to odwinął wilgotne płótno i chłopcy ujrzeli bryłę gliny, która dopiero miała zarysy głowy i ramion.

— I to z tego zrobi pan taką śliczną rzeźbę? — zawołał Jurek. — Jakże to możliwe?

— Zupełnie podobnie, jak wy to robiliście lepiąc w przedszkolu różne stworki z plasteliny. Jeżeli robię portret, to osoba, którą odtwarzam, musi pozować. To znaczy usiąść albo stanąć, a ja patrząc na nią nadaję glinie jej kształty. Jeżeli to będzie jakaś kompozycja, to może być z fantazji. Jeżeli rzeźby są wielkie, jak na przykład anioły z kościoła księży Jezuitów, wtenczas stawia się rusztowanie i robi się po prostu szkielet z patyków i drutu, inaczej mogłaby się rzeźba rozpaść. Potem nakłada się glinę, ale musi się ją koniecznie owijać mokrymi płachtami, aby nie wyschła. Płachty te ciągle się kropi, glinę zaś w pace, o tam przy oknie, musi się również polewać. Dlatego w pracowni rzeźbiarza zawsze są wilgotne opary od tej gliny.

— Teraz przyjrzyjcie się, jakimi przyrządami pracuje rzeźbiarz. Na stoliku leżały młoty, dłuta, cyrkle, rozmaite patyczki.

— To tyle trzeba rozmaitych przyrządów, a ja myślałem...

— Coś myślał? — zapytał pan Hukan.

— Właściwie to patrząc na rzeźbę nie przyszło mi na myśl...

— Że tyle koło niej roboty — zaśmiał się rzeźbiarz.

— A dlaczego te rzeźby w kościele są takie białe?

— Chciałem wam właśnie powiedzieć, że według tych małych modeli, które tu widzicie na półkach, a które były zaprojektowane i wykonane w pracowni, powstały tamte rzeźby. Były budowane na miejscu, to jest w kościele na żelaznych rusztowaniach i rzeźbione jak w marmurze ze stiuku. Stiuk jest to właśnie biała masa sporządzona z gipsu alabastrowego.

— A teraz pokażę wam rzeźbę w drzewie. Spójrzycie na tego Chrystusa na krzyżu.

— Jaki cudowny! — zawołał chłopcy zwracając się w stronę, gdzie rozpięte na krzyżu ciało Zbawiciela lśniło w odblasku słońca. Pochylona głowa i cała postać, w której już nie cierpienie, ale boski spokój się rozlewał, zrobiła na chłopcach potężne wrażenie.

— Jak ten Chrystus patrzy na nas. Gdy będzie już w kościele, będę zawsze chodził modlić się do niego — powiedział Stefek.

— Jeżeli pojedziesz do Warszawy, bo tam w kościele św. Aleksandra będzie w ołtarzu. Rzeźba ta została zrobiona z lipy, która rosła przy dworze w Bronowicach. Z takiego pniaka jak ten, który tu leży na podłodze.

— Z takiego kłosa? A jaby myślał że z kości słoniowej. Widziałem podobnie wyglądającą figurkę w muzeum i ojciec powiedział, że to kość słoniowa.

— Do tego właśnie służą przyrządy, a głównie dłuta sycerskie.

— A teraz spojrzycie tutaj. To jest marmur. Przedstawia głowę Zeusa, pogańskiego boga. Powstała ona z takiego bloku jak ten oto. To



jest marmur kararyjski. Najszlachetniejszy materiał na rzeźbę. Najcięższa praca, to rzeźbienie w marmurze. Trzeba kuć młotem w dłuto i bardzo uważać, żeby nie za mocno, bo jeżeli odprysnąłby za duży kawałek, cała rzeźba mogłaby być zepsuta. Ale za to, jeżeli się uda, jest najpiękniejszą ze wszystkich rzeźb. Rzeźby greckie, które ludzie wykopywali z ziemi w różnych czasach, należały właśnie do takich. Są tak piękne, że nie mają sobie równych. Znajdują się po rozmaitych muzeach świata i zawsze są przedmiotem podziwu i zachwytu, chociaż po nich tyle powstało już innych. We Włoszech jest ich najwięcej, tam też znajdują się kopalnie marmuru. Najpiękniejszy marmur pochodzi z miejscowości włoskiej — Karary.

— Chciałbym pojechać do Włoch, żeby je zobaczyć — wykrzyknął zachwycony Stefek.

— Jak dorośniesz i wojna się skończy możesz jechać.

— A pan był we Włoszech?

— A byłem. Każdy artysta powinien zwiedzić świat i przypatrzeć się arcydziełom dawnych mistrzów, bo i średniowiecze miało swoich geniuszów, a przede wszystkim czasy Renesansu, kiedy żył Michał Anioł, którego rzeźby znajdują się we Florencji i Rzymie.

Chłopcy słuchali z zainteresowaniem wykładu pana Hukana.

— Więc już widzieliście rzeźbę w kamieniu, drzewie, marmurze, pozostaje jeszcze odlew w brązie. Tutaj jest biust odlany z brązu.

I chłopcy ujrzeli popiersie pięknego młodzieńca. Rzeźba miała śliczne kolory, cała była zielona, pokryta jakby śniegizną, w niektórych miejscach lśniła złotawo.

— Czy ta rzeźba jest malowana? — zapytał Jurek.

— Nie! A dlaczego?

— Bo nie jest brązowa tylko zielona.

— To jest tak zwana patyna, której się nie czyści, ponieważ podnosi wartość i piękno rzeźby. Często taką patynę widzicie na dachach starych kościołów. Jakże wtenczas ładnie one wyglądają.

— Rzeczywiście, na kościele św. Barbary jest taki dach, na kościele św. Wojciecha także.

— W Krakowie dużo kościołów ma takie dachy, jak będziecie chodzili po mieście, to się przypatrzcie.

— Dobrze, będziemy szukali.

— Na zakończenie powiem wam jeszcze, jak się robi odlew gipsowy. Wymodelowaną z gliny rzeźbę oblewa się gipsem. Po zestaleniu się gipsu zdejmuje się tę zastygłą skorupę, która utrwaliła w sobie wszystkie szczegóły modelu. Tak powstaje forma, negatyw rzeźby. Do formy wlewa się znów rozrobiony gips, po stwardnieniu którego formę odbija się młotem i w ten sposób spod formy wychodzi gotowy odlew, identyczne odtworzenie pierwowzoru.

— A czy ten odlew nie zlepi się z gliną? — pytali chłopcy.

— Nie — ponieważ formę smaruje się od wewnątrz tłuszczem, więc łatwo odchodzi. Ale zagadaliśmy się na dobre, a rodzice mogą być o was niespokojni.

Chłopcy podziękowali serdecznie panu Hukanowi i zabierali się do wyjścia, ale z pewnym ociąganiem. Wreszcie coś poszeptali między sobą i Jurek zapytał:

— Czy możemy jeszcze kiedyś odwiedzić pana?

— Naturalnie, naturalnie. Możecie zaglądać do mnie od czasu do czasu. A jak będzie coś ciekawego, to wam pokażę.

Chłopcy wyszli z pracowni z mocnym postanowieniem skorzystania z zaprosin artysty.





Anka, Zbyszek i ja dowiedzieliśmy się po raz pierwszy o czynności ludzkiego serca, dzięki śmiesznemu zbiegowi okoliczności. Nasz najmłodszy braciszek, sześćioletni Janek, powiedział pewnego razu, że serce bije dlatego, bo ciągnie je dusza.

Jeszcze teraz śmiać mi się chce, gdy przypomnę sobie jego słowa.

— Moja dusza siedzi koło serduszka. Tu, głęboko... — mówił wskazując na piersi. — Jak chodzę spokojnie dusza ciągnie serce powoli, a jak biegam szarpie je z całych sił. Wtedy moje serduszko puka prędko... O tak... puk, puk, puk, puk!

Nie wiem skąd mu to przyszło do głowy. W każdym razie śmialiśmy się okropnie, bo przecież nam chodzącym do szkoły ani się wierzyć nie chciało w takie bzdury. Sprawa jednak zainteresowała nas i postanowiliśmy zapytać cioci, jak naprawdę wygląda serce i dlaczego bije bezustanku. Gdy nasza trójka znalazła się w pokoju cioci i gdy wytuszczyła z czym przychodzi, ciocia rzekła:

— Usiądźcie przy stole. Przygotuję papier i ołówek, by narysować wam schemat serca i drogę krwiobiegu. Zanim zacznę powiedzcie mi najpierw, co już o nim wiecie?

— Ja wiem — odezwała się Anka — że każdy człowiek ma serce i żyje tak długo, póki ono bije.

— A ja wiem, że czasem puka mocno, a czasem słabo — wtrącił Zbyszek.

— Słyszałem, że wykonuje jakąś pracę — dodałem — tylko nie pamiętam jaką. I wiem jeszcze, że leży po lewej stronie klatki piersiowej.

— Dobrze — rzekła ciocia. — Otóż widzicie, serce ludzkie jest jak gdyby doskonale pracującą maszyną. Biję dlatego, że się kurczy

i rozkurcza, co odczuwamy jako stukanie. Ma kształt stożka. Patrzcie, zaczynam rysować.

— Może i my także weźmiemy sobie papier? — zaproponowałem.

— Doskonale. Każde z was przerysuje sobie na swój arkusik i będzie mogło lepiej obserwować. Zaczynamy. A więc serce ludzkie leży większą swą częścią po lewej stronie klatki piersiowej. Jest silnym mięśniem, który dzielimy na część lewą i prawą, oraz górną i dolną. Spójrzcie, o tak, jak narysowałam.

— To są w nim aż cztery dziury? — zdziwił się Zbyszek.

— Można by tak powiedzieć, ale my nazwiemy te części serca inaczej, bardziej właściwym mianem: dwie dolne noszą nazwę komory prawej i komory lewej, a dwie górne nazywają się przedsionkiem prawym i przedsionkiem lewym.

— Jakie to zabawne! To tak jakby pokój i korytarz.

— A tak. Tym bardziej, że między komorami i przedsionkami są drzwi, to jest otwory, które zamykają się i otwierają za pomocą rygli, zwanych zastawkami. Serce pracuje bez przerwy i w dzień i w nocy, aż do końca naszego życia. Praca jego polega na przeprowadzeniu przez komory i przedsionki krwi z całego ciała, krwi dwójakiego rodzaju.

— Jakto? To nie mamy jednej krwi, tylko dwie? — zdumiałem się.

— A dwie. Bo jedna krew jest świeża, zawierająca tlen potrzebny do odżywiania organizmu i wprowadzany do płuc, a stąd do krwi wdech, krew zaś druga jest zużyta, zepsuta, zawiera szkodliwy dla organizmu i narządów gaz, zwany dwutlenkiem węgla.

— I na pewno ten gaz wyrzuca się wydechem — wykrzyknęła Anka.



— Masz rację.

— Ciociu, a jak krew dostaje się do serca?

— Zaraz wam opowiem. Teraz przypatrzcie się dobrze obrazkowi narysowanemu przeze mnie i spróbujcie naszkicować go na swoich kartkach. Już?

— Gotowe, ciociu.

— Skoro zapoznaliście się z wyglądem i podziałem serca, objaśnię wam z kolei tak zwany krwiobieg. Zapewne wiecie, że krew znajdująca się w naszym ciele krąży bez przerwy. Krew zużyta zawierająca dwutlenek węgla płynie żyłami większymi i mniejszymi, które łączą się z żyłą główną. Żyła główna zaś „wpada” do komory prawej. Gdy porcja krwi z żyły głównej zostanie wepchnięta do komory prawej, wtedy otwór żyły zamyka się tak, że krew nie może do niej wrócić, tylko musi szukać sobie innego wyjścia, tym bardziej, że komora kurczy się i wyrzuca ją. Krew ma tylko jedno wyjście: otwór prowadzący do przedsionka prawego, który otwiera się i wciąga ją do siebie, ale też tylko po to,

aby ją zaraz wyrzucić dalej. Wyrzuca ją do żyły, zwanej płucną. Gdy krew zostanie z przedsionka prawego wepchnięta do żyły płucnej, płynie przez płuca, gdzie po drodze pozbywa się dwutlenku węgla, ulatniającego się za pomocą wydechu.

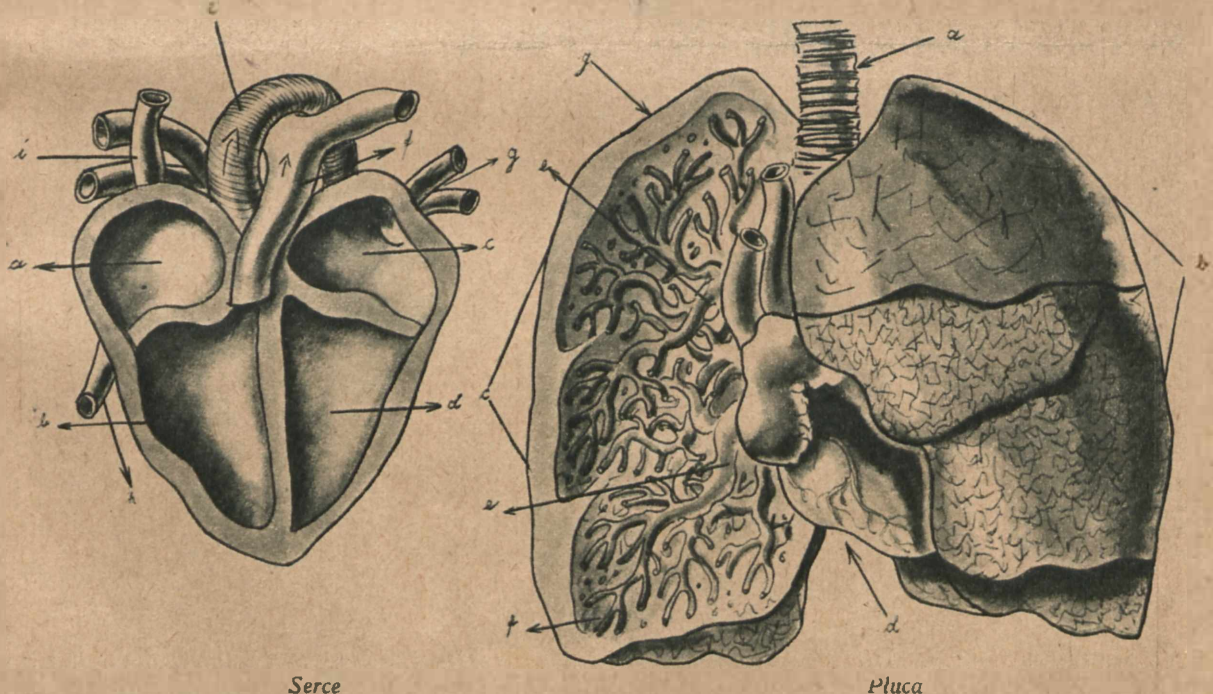
— Pewno zabiera potem nowy ładunek tego tlenu — rzekłem. — Wiesz, ciociu, przypomina mi się czytanka w jednym z poprzednich „Sterów” pod tytułem: „Dziwna Bajka”. Poczekał, postaram się wytłumaczyć, co nastąpi dalej.

— Doskonale. Spróbuj pokazać nam dalszą drogę krwi.

— Gdy krew wchłonęła już tlen, przypuszczam, że wpływa innym naczyniem do przedsionka lewego...

— Tak. Żyłą płucną.

— A więc, gdy krew wchłonęła już tlen — powtórzyłem — wpływa żyłą płucną do przedsionka lewego. Skoro znajdzie się w przedsionku, otwór tętnicy zamyka się. I wtedy przedsionek się kurczy wyciskając krew do



- Serce**
- a = przedsionek prawy
  - b = komora prawa
  - c = przedsionek lewy
  - d = komora lewa
  - e = aorta (tętnica główna) = wyprow. krew tętniczą do krwiobiegu
  - f = tętnica płucna = wyprow. krew żylną do płuc
  - g = żyła płucna = sprow. krew tętniczą do serca (do lewego przedsionku)
  - h = żyła czcza dolna | sprowadzają krew żylną z or-
  - i = żyła czcza górna | ganizmu do pr. przedsionku.

- Płuca**
- a = tchawica
  - b = płuco prawe (składające się z 3 płatów)
  - c = płuco lewe (składające się z 2 płatów)
  - d = serce
  - e = oskrzela (rozgałęzienie tchawicy, dzielące się na 2 części na wysokości płuc)
  - f = oskrzeliki (dalsze rozgałęzienie oskrzeli)
  - g = oplucna płuca.



komory lewej przez otwór łączący go z tą komorą. Klapki się zamykają...

— Nie klapki, lecz zastawki.

— Zastawki się zamykają i krew znajduje się w komorze lewej.

— Doskonale. Zrozumiałeś zupełnie dobrze — pochwaliła ciocia. — Teraz historia powtarza się, bo i ta komora skurcza się i wytłacza otrzymaną krew przez otwór do tętnicy głównej, zwanej aortą. I tu zastawki zamykają się tak, że krew nie może wrócić do komory, lecz spływa na dół. Płyne najpierw aortą. Z niej dostaje się do coraz mniejszych tętnic i tętniczek rozgałęziających się po całym organizmie, a w końcu w bardzo już małej ilości dociera do najcieńszych naczyń krwionośnych. Naczynia te zwiemy naczyniami włoskowatymi tętniczymi, bo są tak cienkie, jak włos. Naczynia włoskowate tętnicze spotykają się z naczyniami tętniczymi żylnymi. Krew z jednych przepływa do drugich, z tą różnicą, że z chwilą dostania się do naczyń włoskowatych żylnych nie zawiera już tlenu, tylko zużyte

cząstki i dwutlenek węgla, o którym już mówiliśmy.

— A teraz na pewno wszystko zaczyna się od początku — powiedziała Anka. — Pewno krew znów płynie do prawej części serca, potem do płuc, z płuc do lewej części serca i do aorty.

— Ma się rozumieć. Tę wędrówkę krwi nazywamy krwiobiegiem. Każda tura trwa mniej więcej 21 sekund.

— Tak krótko? To rzeczywiście serce ludzkie jest doskonałą maszyną — zawołaliśmy zachwyceni.

— Ale mimo wszystko nie jest aparatem tak prostym, jak to wyobrażał sobie Janek — rzekł Zbyszek. — On posadził sobie koło serca duszę i gotowe.

Roześmialiśmy się wszyscy. Lecz ciocia powiedziała, że nie powinniśmy naśmiewać się z Janka, bo on jeszcze małej, nie może więc wiedzieć, jak jest naprawdę.

Aldona Pieterowa.

## OD REDAKCJI

*Młodym Swoim Czytelniczkom i Czytelnikom z okazji Świąt Gwiazdkowych i Nowego 1942 Roku składam najserdeczniejsze życzenia. Oby w Waszym i w Ojców i Matek Waszych trudnym, pracowitym życiu Wieczór Wigilijny jutrzeńką się stał lepszej przyszłości, opromienionej blaskiem zorzy Pokoju i pojednania wszystkich ludzi pracy.*

*Wasz Redaktor.*

### Przybieżeli pastuszkowie...

Przybieżeli pastuszkowie  
do szopeczki,  
kiedy w żłobie  
leżał sobie  
Małusieczka.

I złożyli Mu  
w ofierze  
dary swoje:  
ten — dwa serki  
owcze, świeże,  
tamten troje  
gołąbeczków,  
gruchaweczków,  
ów jaguszek!

Aż się śmiało,  
radowało  
w głos Dzieciątka!  
Aż anieli przystanęli  
i na Pana  
pośród jana  
patrzają słodko!

E. K.





Wiara, Rozum i Zwątpienie u Chrystusowego zióbka.

## DZIEWCZYNIKA Z ZAPALKAMI

Była to wigilia Bożego Narodzenia. Zapadał mrok i na granatowym niebie ukazywały się pierwsze gwiazdy, na których widok ludzie przyspieszali kroku, aby prędzej znaleźć się w domu przy wigilijnej wieczerzy. Jasno było na ulicach od świateł w wystawach sklepów, gdzie leżało tyle, tyle przeróżnych łakoci, przystrojonych świerkiem, białą watą i złotymi niemi; ogromne stopy jabłek bladozielonych, żółtych i czerwonych, sterty cukierków w różnokolorowych papierkach, wianki szarych fig, bryły ciemnobrązowych daktyli i mnóstwo

przeróżnych pierników, których miodowy zapach snuł się wokoło ciągle otwieranych i zamkniętych drzwi sklepów.

Ludzie śpieszyli się bardzo. Prawie wszyscy byli obciążeni paczkami, za niektórymi niesiono duże, ciemno zielone i ślicznie pachnące lasem choinki, albo wieszono saneczki pełne pakunków, między którymi nierzadko wyglądał koń na biegunach lub ogromny niedźwiedź, zabawki zbyt duże, aby je można było dokładnie owinąć w papier i owiązać sznurkami.



Jakże szczęśliwe będą dzieci, którym po wigilijnej wieczerzy ofiarują te cuda! Jakże godne zazdrości są dzieci, które zasną w ciepłym pokoju w cieniu obwieszanej słodyczami i złocisto-srebrnymi cackami choinki, mocno tuląc do siebie lalkę, czy pluszowego misia!

Kiedy rodzice kończyli sprawunki świąteczne, dzieci siedziały w domu, czekając z niecierpliwością pierwszej gwiazdki, choinki i nowych zabawek. Na ulicy nie było dzieci. Było już zbyt późno i zbyt ciemno. Tylko jedna mała, najwyżej pięcioletnia dziewczynka stała pod murem domu i sprzedawała zapałki. Prawie nikt jej nie widział, była taka malutka, sięgała zaledwie do kolan dorosłych ludzi; zresztą każdy zajęty był swymi sprawami, tyle rzeczy w ostatniej chwili trzeba kupić. Co by to na przykład było, gdyby ktoś zapomniał o świeczkach na choinkę lub o zapałkach?

Dziewczynka sprzedawała zapałki. Nie miała rodziców, a ludzie, którzy ją przygarnęli, byli zbyt ubodzy, aby wyżywić jeszcze jedno dziecko, własnych było za wiele — musiała więc pracować. Niejednokrotnie przynosiła do domu garstkę drobnych monet, ale dziś nikt jakoś na nią nie zwracał uwagi. Było już bardzo ciemno i późno, a ona bała się powrócić do domu, bo nie sprzedała ani jednego pudełeczka zapałek. Z początku nawet podbiegała do przechodzących, prosząc, aby kupili zapałki. Potem głosik jej ochrypl, więc tylko patrzyła błagalnie oczyma pełnymi łez, wreszcie była tak znużona, zmarznięta i głodna, że osunęła się w kąt między murami domów, podsunęła pod sukienkę zmarznięte nóżki, z których spadały zbyt duże, drewniane chodaki, i przytuliła do ust zziębnięte rączki, chcąc je choć trochę rozgrzać.

Powoli ulice zaczęły pustoszeć. Zamknięto resztę sklepów, pogaszono światła, jeszcze tylko gdzieś niegdzie przejechały sanki, dzwoniąc głośno. Spod końskich kopyt posypały się bryzgi śnieżnej piany. Już tylko okna kamienic świeciły złotymi i różowymi światłami, ulice

cichły i tylko z pobliskiego kościoła dochodziły głosy, śpiewające kolendy.

Właściwie nie było nawet po co wracać do domu. Czekano tam na pieniądze, których ona nie miała. Jeść także nie dostanie, choćby za karę, że nic nie sprzedała, a zimno tam jest prawie tak jak tutaj.

Dziewczynka nie czuła już zupełnie nóżek. Były takie zmarznięte. Oddech przedostawał się z trudnością przez spuchnięte gardziółko, a główka była coraz cięższa i taka gorąca...

I może właśnie dlatego, że mróz i gorączka zmieniły odgłosy śpiewów kościelnych i dalekie echo dzwonek w jakąś czarodziejską muzykę, a płatki śniegu sypiące się coraz gęściej z ciemnogramatowego nieba zasnuły srebrną mgłą ulice miasta, mała dziewczynka odważyła się na zapalenie wyjętej z pudełeczka zapałki.

Może chciała się ogrzać, a może po prostu rozjaśnić coraz bardziej zapadający mrok?

W złotym świetle zamigotała choinka, jarząca się tysiącem srebrzystych i złocistych nici... I znów stało się ciemno, zapałka zgasła.

Wtedy dziewczynka wzięła kilka zapałek i równocześnie potarła je o pudełeczko. Płomień był większy i silniejszy.

Mury domów zbiegły się w czworokąt różowego pokoju. Na stole wigilijna wieczerza, w kącie choinka, pod nią i lalka w niebieskiej, jedwabnej sukni z długimi jasnoblonde warokoczami i ciemnoczekoladowy, mięciuteńki, pluszowy niedźwiadek, a na choince słodycze w szeleszczących, różnobarwnych papierkach, miodowe pierniczki i maleńkie świeczki, których gorący płomień aż parzy...

Sparzyły małe rączki dopalające się zapałki. Dziewczynka wysypała wszystkie zapałki i płomieniem jednej z nich dotknęła małego stosu, który zapłonął jasno.

Płatki śniegu sypią się coraz gęściej na ziemię i uścielają puszysty dywan, miękki i delikatny. Nie czują jego chłodu zziębnięte, bosa nóżki, toną w nim, jak w najdelikatniejszym futrze. Jest tak jasno, że trzeba przyzmrużyć oczy, tak ciepło, jak w letni, słoneczny dzień, pachną kwiaty a dokoła rozlega się



cichy śpiew, ni to kolędy śpiewane przez dziecięce głoski, ni to dalekie dzwonki sanek, cichsze, głośniejsze, przedziwnie melodyjne... Naokoło dzieci, dużo dzieci w białych, długich sukieneczkach, ze srebrnymi gwiazdkami na ciemnych i jasnych lokach, dzieci z różowymi i niebieskimi skrzydełkami, jak aniołki na malowankach w księgarni. Prawdziwe aniołki! I ona, mała dziewczynka, sprzedająca zapalki pod murami domów, jest też aniołkiem. Nie ma już na sobie podartej, szarej sukieneczki, nie ma starego, wełnianego szala, całego w strzępach i dziurach. Zgubiła gdzieś drewniane, ciężkie i niewygodne chodaki, bose nóżki toną w białym puchu; delikatna tkanina otula małe ciało i jest tak lekko, tak bardzo lekko, bo na pewno ma ona także jak i inne dzieci, śliczne, puszyste, różowe albo niebieskie skrzydełka. Dziewczynka tańczy z aniołkami naokoło ogromnej choinki, całej lśniącej od srebra i złota, otacza razem z nimi

świętego Mikołaja w czerwonym płaszczu i kapturze, wyciąga razem ze wszystkimi rączki, do których święty staruszek kładzie z dobrotliwym uśmiechem ogromną lalkę w niebieskiej, jedwabnej sukni i pluszowego misia. A potem już we troje: miś, lalka i dziewczynka dzielą się pierniczkami, których miodowy zapach przypomina upalny dzień letni. Jest tak ciepło i tak jasno...

W ciemnym zaułku leżała zmarznięta, małeńka dziewczynka, sprzedająca zapalki. Śnieg zasypał ją całą, tylko w rączkach sztywnych i czerwonych trzymała na wpół spalone pudełeczko zapalek, a w oczach szeroko otwartych malował się wyraz niezmiernego zachwytu — cóż bowiem znaczyły: mróz, śnieg, głód i ciemność wobec najcudniejszej wigilii Bożego Narodzenia spędzonej w niebie?

Wg Andersena opracowała  
Krystyna Chruścielska.



Wieczór już stał u proga, słońce padało za bory, a czerwone zorze rozlewały się po niebie krwawymi zatokami, że śniegi gorzeć się zdawały, jakby zarzewiem posypane — ale wieś głuchła i przycichała. Nosili jeszcze wodę ze stawu, rąbali drwa, to ktoś się spieszył saniami, aż koniom śledzony grały, biegali jeszcze przez staw, skrzypiały wrótnie gdzieś niedaleko, zrywały się tu i ówdzie głosy różne, ale z wolna wraz z gaśnięciem zórz i z tą popielną sinością, jaka się sypała na świat, ruch zamierał, przycichały obejścia i pusto-

szały drogi. Dalekie pola zapadały w mroczkach, zimowy wieczór prędko nastawał i brał ziemię w moc swoją, a mróz się podnosił i tak ścisnął, że głośniej grały śniegi pod trepami i szyby malowały się w różgi i kwiaty dziwne!...

Wies zginęła w szarych, śnieżystych mroczkach, jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro a gęściej niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczery.

W każdej chałupie, zarówno u bogacza,



jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczaniem, a wszędy stawiano w kącie od wschodu — snop zboża, okrywano ławy czy stoły płótnem bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś niewidne były zaraz z pierwszego wieczora jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać jakby dymami sinymi i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę увидzieli.

— Jest! Jest! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Jużci że była, tuż nad wschodem, jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się

rosła w oczach, leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Rocho uklęknął na śniegu, a za nim drugie.

— Oto gwiazda Trzech Króli, Betleemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania boskiego nad światem.

Serca im zabiły rzewliwą radością, wiarą gorącą, dufnością i brały w siebie to światło czyste, jako ten ogień święty, pleniący zło, jako sakrament...

— Czas wieczerzać, kiedy słowo ciałem się stało! — rzekł Rocho.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.





Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, bo się dołożyła, aby razem wieszczę, siadł Rocho w pośrodku, siadł Pietrek, siadł Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadła na krótko, bo trzeba było o jadłe i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta cichość zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich, pojedli go ze czcią, kieby ten chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! — powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym chlebie, a pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całymi, a potem przyszły śledzie w mące obmaczane i smażone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem również omaszczona, a na ostattek podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki, z miodem zatarte i w makowym oleju uprażone, a przygryzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni strucli, że z mlekiem i z masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Jedli długo i mało kiedy, jeśli tam które rzekło jakie słowo, więc ino skrzybot łyżek o wręby się rozlegał i mlaskanie...

Cicho się w izbie stało, ciepło serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, jakby między nimi leżało to święte dzieciątko Jezus.

Ogromny a ciągle podsycany ogień wesoło trzaskał na kominie i rozświetlał całą izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniły zmarznęte szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy, przed ogniem i poradzali z cicha a poważnie.

Potem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali zwolna...

Aż Rocho wyjął z zanadru książkę, okrę-

coną w różaniec i zaczął z niej czytać cichym a głęboko wzruszonym głosem:

„Jako to stała się nam nowina, panna porodziła syna; aż w Judejskiej ziemie, w Betelem, niebardo podłym mieście, narodził się Pan w ubóstwie; na sianie, w stajni lichej, między bydłatkami, co w tej radosnej nocy cichej były mu bratami. — A ta sama gwiazda, co i dzisiaj świeci, spłonęła wówczas dla tej świętej dzieciny — i drogę wskazywała Trzem Królom, co chociaż pogany i czarne jako te sagany, a serca mieli czujące i z krajów dalekich, z za mórz nieprzejrzanych, z za gór srogich przybiegli z darami, by prawdzie dać świadectwo“.

Długo czytał opowieść oną, a głos mu się wzmagał i rozmadlał i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanię wygłaszał, a wszyscy siedzieli w milczeniu pobożnym, w ciszy serc zasłuchanych, w drzeniu dusz olśnionych cudem i w najszczerzym odczuciu łaski Pańskiej, narodowi danej!

Hej, mój Jezus kochany! W stajence ci to lichej urodzić się przyszło, tam w tych krajach dalekich, między obcymi, między Żydy paskudne, między heretyki srogie! A w ubóstwie takim, w taki mróz! O biedoto przynajświętsza, o dziecineczko słodka!... Myśleli, i serca były współczuciem, a dusze się zrywały i niesły we świat, jako ci ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nóżek dzieciątka przypadali sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali mu się w te służki najwierniejsze aż po wieki wieków amen!

A Rocho wciąż czytał, aż Józka, że to miętkie dzieuszysko było i wielce czujące, zapłakała rzewliwie nad Pańską niedolą, a Jaguś wsparłszy twarz na dłoniach też płakała, aż jej łzy ciekły przez palce, że chowała głowę za Jędrzycha, którego z otwartą gębą wpodłe słuchał, a tak się wielce dziwował



słyszaniem, że raz po raz szarpał Szymka za kapotę i wykrzykiwał:

— Ciel!... Słuchasz to Szymek! — ale wnet milknął, karcony srogim wzrokiem matki.

— Nawet tej kolebeczki nie miała biedota!

— Dziw, że to nie zmarzło!

— I że to chciał Pan Jezus tyle wycierpieć!

Powiadali rozważając, gdy skończył, a Rocho im na to:

— Bo ino ochwiarą swoją i cierpieniem mógł zbawić naród, a gdyby nie to, to jużby Zły całkiem zapanował nad światem i wybierał dusze la siebie.

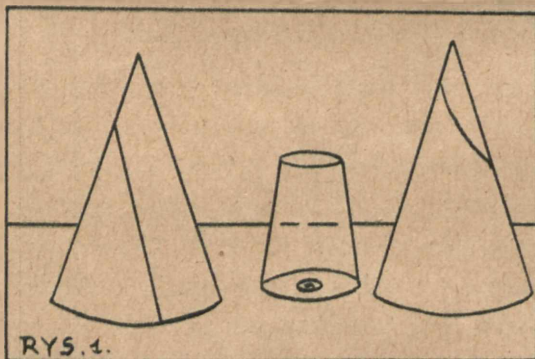
Władysław St. Reymont  
(fragmenty z „Chłopów“)

## CZARODZIEJ

### Lekcja sztuk magicznych

Czy chcielibyście zabawić się w czarodzieja, w takiego prawdziwego czarodzieja, który polyka zapalone świece? Jeżeli tak, to nauczę was kilka łatwych sztuczek.

Najpierw powiem wam, jak zrobić wędrującą monetę. Do tej sztuki potrzeba nam będzie dwu czystych szklanek, z których jedna pozostanie pusta, a do drugiej wkleimy dużą monetę, najlepiej nową pięćdziesiątgroszówkę. Zrobimy to w ten sposób: monetę położymy na kawałku białego papieru i nakryjemy odwróconą dnem do góry szklanką, której



urzeg wysmarowaliśmy klejem. Gdy klej zaschnie, itniemy papier wokół szklanki i moneta zostanie w niej uwięziona. Takim samym białym papierem musimy obić, albo nakryć stolik, na którym będziemy pokazywać sztukę. Gdy teraz postawimy na stoliku szklankę z papierowym dnem, będzie to wyglądało, jakby moneta leżała wprost na stole.

Potem przygotowujemy sobie dwie trąbki z papieru do nakrycia szklanek, jak to widać na rysunku 1. I jeszcze trzeba nam drugiej takiej samej monety. Obie szklanki stawiamy na stoliku i przykrywamy trąbkami z papieru. Przygotowania skończone, możemy zaprosić widzów.

Jak mamy teraz pokazywać sztukę?

Pokazujemy wszystkim monetę, którą trzymamy w ręku.

— Proszę państwa! Wkładam pięćdziesiąt groszy pod stojącą na stole szklankę.

Podnosimy razem z nakrywką pustą szklankę i kładziemy pod nią monetę. Potem podnosimy tak samo szklankę zaklejoną i pokazujemy wszystkim, że stół pod nią jest pusty. A teraz rzucamy czar; moneta ma przejść spod jednej szklanki pod drugą. Podnosimy nakrywkę ze szklanki zakleionej i wszyscy stwierdzają ze zdumieniem, że moneta jest rzeczywiście pod nią. Nakrywamy szklankę, znów wymawiamy zaklęcie:

— Hokus pokus ineter dokus... Hokus pokus fidibus... Niechaj moneta wróci na swoje miejsce! Raz, dwa, trzy...

Podnosimy teraz szklankę zaklejoną z nakrywką i pokazujemy, że znów pod nią nic nie ma. A gdy podniesiemy nakrywkę z pustej szklanki, widzowie zobaczą leżącą tam monetę. W ten sam sposób możemy „wrzucić“ do stojącej pod nakrywką, zakleionej szklanki pięćdziesiąt groszy, przy czym luźną monetę trzeba ukryć w dłoni. Jeżeli będziemy pamiętać, że nie można odkrywać równocześnie obu szklanek, widzowie na pewno nie domyślą się na czym polega sztuka. Ale może się zdarzyć, że ktoś zarzuci nam oszustwo.

— Tam muszą być dwie monety!

Możemy go łatwo przekonać, że jest tylko jedna. Włożymy luźne pięćdziesiąt groszy pod zaklejoną szklankę i podniesiemy obie nakrywki z obu szklanek. Pod pustą szklanką nie będzie nic, a pod zaklejoną widzowie zobaczą tylko jedną monetę, bo drugą przykryje papier.

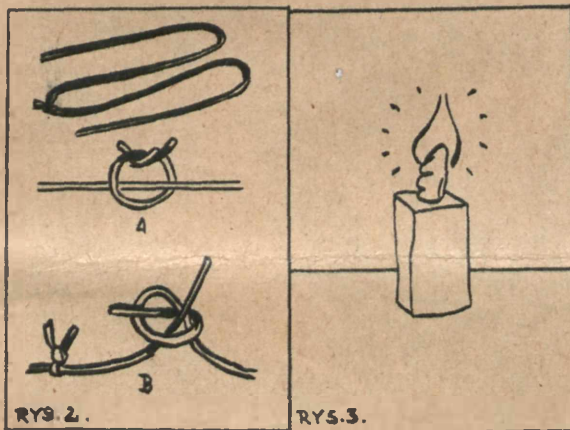
Druga sztuka, którą chcę wam opisać, jest już nieco trudniejsza i wymaga dłuższej wprawy. Pokazują ją zwykle wszyscy czarodzieje w cyrku. Jest to sztuka ze sznurkiem, który mimo przecinania pozostaje zawsze cały.

Do tej sztuki trzeba nam będzie grubego gładkiego sznura długości około pół metra i nożyczek. Wszystkie przygotowania ograniczą się do zawiązania na sznurze ruchomego węzła, jak to pokazuje rysunek 2a. Biorąc sznurek do ręki ukrywamy węzeł w lewej dłoni. Prawą ręką możemy swobodnie przesuwając sznur w tę i w tamtą stronę, możemy nawet pokazać go widzom z bliska. Trzeba tylko uważać, by nikt nie spostrzegł węzła.



Teraz nastąpi najtrudniejsza część sztuki. Przesuniemy sznur w rękach tak, aby w lewej dłoni od strony kciuka wystawał sam jego koniec. Musimy związać oba końce w sposób pokazany na rysunku 2b. Koniec trzymamy w prawej ręce, zawiązujemy wokół lewego końca w ruchomy węzeł, który łatwo da się zesunąć. Musimy wyćwiczyć się w szybkim i zręcznym wiązaniu sznura, by się nie pomylić i nie narazić na śmiech!

A teraz zrobimy tak: przesuniemy lewą rękę z ukrytego węzła na świeżo zawiązany, a prawą ręką szybko przeciągniemy ruchomy węzeł na połowę sznura, tym razem nie ukrywając go już w dłoni. Widzom będzie się zdawało, że porusza się nie sam węzeł, ale cały sznur, przesuwać się przez lewą dłoń. Potem damy jednemu z widzów nożyczki i każemy mu przeciąć sznur. Ciągłe chowając prawdziwy węzeł w ręce, prawą ręką ujmiemy za zsuwający się z węzła koniec, a widz przetnie sznur między naszymi rękami. Wszystkim będzie się zdawało, że sznur został przecięty w połowie, a prawdziwy węzeł znajduje się teraz w środku jego dłoni.

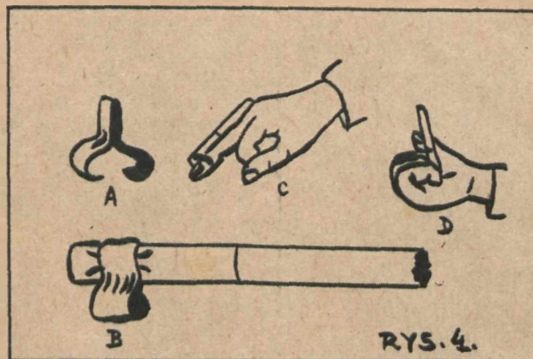


My tymczasem wyciągamy sznur z lewej ręki, ukrywając w niej zsunięty kawałek, bierzemy nożyczki i obcinamy ze sznura ruchomy węzeł. Razem z nim należy niezrażenie upuścić na ziemię schowany w dłoni koniec sznura.

Jakże się zdziwią widzowie, gdy się okaże, że sznur „zrósł się” pod węzłem! Aby ich upewnić, że nie ma żadnego oszustwa, podamy im sznur do dokładnego obejrzenia.

Jedną z głównych sztuk każdego czarodzieja jest połykanie ognia. Naturalnie i tu spotykamy się z oszustwem, ale muszę was uprzedzić, że ogień jest zwykle prawdziwy. Nie tak trudno zjeść zapaloną świeczkę, jak się wydaje przerażonemu widzowi. O ile przygotujemy sobie w ustach dużo śliny, płomień zgaśnie natychmiast. Trzeba tylko pamiętać, by świeczka nie była zbyt wysoka, bo wówczas możemy się poparzyć.

Nie wiem, czy próbowaliście jeść kiedyś prawdziwą świeczkę, ale zalecam wam, że nie jest ona smaczna, ani zdrowa. Zresztą jej płomień jest dla naszej sztuczki zbyt gorący. Zrobimy sobie inną świeczkę.



Z dużego jabłka wytniemy niewielką kostkę i wetknijemy w nią zamiast knota kawałek suchego włoskiego orzecha. Zapalimy go, jak na rysunku 3. — i zjemy ze smakiem ku wielkiemu przerażeniu i zdziwieniu widzów!

A może chcecie łapać papierosy z powietrza? Z kawałka blaszki zrobimy sobie taki przyrząd, jak widać na rysunku 4a. Włożymy doń ustnik papierosa w tutce (rys. 4b), a potem założymy na średni palec prawej ręki tuż powyżej paznokcia (rys. 4c). Możemy teraz wszystkim pokazać, że ręka jest pusta; ukrytego za palcem papierosa nie będzie widać od środka dłoni. Rozstawiamy szeroko palce, skradamy się, czaimy i łaps! zamykamy rękę. Papieros sterczy nam między palcami (rys. 4d). Lewą ręką bierzemy czapkę i „wrzucamy” do niej papierosa. Przy pewnej zręczności potrafimy wyciągać w ten sposób papierosy z ucha widza, z lampy, z okna, z nosa i z podłogi. Musimy tylko uważać, by nikt nie zauważył grzbietu dłoni z ukrytym papierosem.

Na zakończenie nauki czarów powiem wam jeszcze, młodzi czarodzieje, jak powinien zachowywać się prawdziwy czarodziej. Nie jest konieczne potrzebne, aby do swych sztuczek ubrał się we frak i turban, jak hinduski fakir w cyrku. Za to nie wolno mu się śmiać podczas pokazu, bo to psuje wrażenie. Nie powinien też występować przed widzami, dopóki nie nauczy się dobrze w samotności swoich sztuczek. A teraz główna przestroga: nie zdradzajcie widzom swoich tajemnic! Nic nie wart taki czarodziej, który opowiada wszystkim, jak robi swoje sztuki. A jeżeli będą was prosić, byście ich nauczyli, jakieś sztuczki, dajcie im taki przepis:

— Chcecie, żebym was czegoś nauczył? Bardzo chętnie! Te sztuczki, które wam pokazywałem są bardzo trudne, więc powiem wam, jak zrobić inną. Czy chcecie łamać podkowy? Trzeba wziąć zwyczajną mocną podkowę, nasmarować ją dokładnie mydłem i włożyć na chwilę do wody. Po wyjęciu przy małym wysiłku złamie się bez trudu!

Zobaczmy, jak wasi przyjaciele będą się męczyć z tą podkową!

Dzięki namydleniu będzie się ona wyslizgiwała z ręki jak żywa. Naturalnie o złamaniu jej nie ma mowy.

Wanda O.





Pokłon Trzech Króli (Rubensa).

Redaktor: dr Feliks Burdecki.

Adres Redakcji: Kraków, Poststr. 1. Redakcja „Steru”, tel. 2-23-88.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Universitätsstr. 19 a. Administracja „Steru”.

Jeden nr. „Steru” kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.  
Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.

Zamówić